
ERA DONALDA TRUMPA – KONIEC CZY NOWY POCZĄTEK?

Trudno znaleźć istotny aspekt relacji Europy i Ameryki Północnej (pamiętamy o Kanadzie!), który nie był dotąd wielokrotnie poddany oględzinom i analizie. Współpraca wojskowa, handlowa, polityczna, regulacyjna czy przemysłowa, w układzie dwu- lub wielostronnym, między NATO a UE, poszczególnymi stolicami razem i osobno – wszystko to już było, jest i będzie kręcić się wokół dwóch pytań. Pierwsze dotyczy obecnego etapu współpracy, drugie – jej celu. Innymi słowy: czy najlepsze lata dopiero przed nami, czy też kamienne gody – siedemdziesięciolecie pożycia – nieuchronnie zbliżają nas do godów diamentowych, a następnie do dębowych, czyli – do końca, cokolwiek miałyby to w świecie polityki znaczyć? Na to pytanie nie ma sensownej i przekonującej odpowiedzi. Spróbujmy więc zastanowić się, jak można jej szukać.

Nazywanie i definiowanie rzeczy lub zjawisk jest niezbędnym elementem rozmowy o świecie. Ma jednak ten mankament, że koncentruje naszą uwagę na poszukiwaniu sensu, metody i struktury w działaniach, których celem, co do zasady, nie było tworzenie długofalowej polityki, lecz reagowanie pod presją wydarzeń. Wystarczy wziąć do ręki podręcznik lub publikację sprzed dziesięciu, piętnastu czy trzydziestu lat traktującą o interesujących nas tu zagadnieniach, aby uzmysłwić sobie, jak bardzo niedoskonałe jest definiowanie złożonych procesów polityczno-społecznych zachodzących po obu stronach Atlantyku, a następnie ustawianie ich w szeregu czasowym według początku i końca, zmiany lub kontynuacji. Dla historyków problem ten jest oczywisty. Dla politologów, których zawodowy i społeczny status zależy od umiejętności analizy terażniejszości na podstawie interpretacji przeszłości, a następnie przepowiadania przyszłości, już niekoniecznie. Dochodzi do tego czynnik emocji, które mocno wpływają na ocenę rzeczywistości.

LEGENDA I PRAKTYKA

Opowieść o minionych dekadach i o przyszłości współpracy transatlantycznej może zatem być historią świadomych swojego miejsca i roli liderów, którzy mimo własnych braków, egoizmów i błędów starannie planowali kontury nowego świata, przewidując działania swoich wrogów. Doktryna Trumana i plan Marshalla – zapowiedź wsparcia wolnego świata w walce z zagrożeniem komunizmu – są dla Zachodu tym samym, czym plan Schumana dla integracji europejskiej: nie tylko kamieniem węgielnym powojennej polityki, ale także jej mitem założycielskim. Obie idee legły u podstaw politycznej narracji, zgodnie z którą wzajemne stosunki były starciem słabej i niedojrzałej strategicznie Europy, uzależnionej od amerykańskiego parasola nuklearnego, z imperialnymi Stanami Zjednoczonymi, niepotrafiącymi uszanować suwerenności partnerów.

Takie ujęcie stosunków transatlantycznych stało się po zakończeniu zimnej wojny punktem odniesienia dla nowej debaty i nowego pytania: czy osiągnąwszy swój strategiczny cel, Ameryka wycofa się wojskowo i politycznie z Europy, kończąc współpracę transatlantyczną? Dominowało przekonanie, że prawdopodobieństwo takiej decyzji – choć rozłożonej na lata – jest ogromne. Dla części analityków wynikał z tego imperatyw pogłębiania integracji europejskiej, w tym własnej polityki bezpieczeństwa, aby wypełniać próżnię, którą mogą zostawić Amerykanie. Dla pozostałych taka strategia jawiła się jako akt samobójczy, stąd mądrą polityką miało być hamowanie tego procesu poprzez unikanie konfliktów i szukanie pól do współpracy, nawet kosztem ograniczania ambicji i interesów Europy w pozimnowojennym świecie. Dylemat ten został na pewien czas rozstrzygnięty w wyniku decyzji o rozszerzeniu NATO, którą poprzedziła „doktryna Busha seniora” o Europie całej i wolnej, a następnie „wojna z terroryzmem” i konsolidacja wokół nowego, wspólnego zagrożenia.

Każda ze wspomnianych wyżej opowieści zawiera trafne obserwacje i intuicje. Każda jednak w większym stopniu służy podtrzymywaniu starych i tworzeniu nowych narracji, niż analizuje źródła siły i słabości współpracy Stanów Zjednoczonych, Kanady i Europy.

Jeśli odrzucilibyśmy na moment pokusę politycznej narracji na korzyść analizy bliższej historykom, nasze rozumienie relacji transatlantycznych byłoby bardziej złożone i przez to bliższe prawdzie. Historia stosunków Europy i Ameryki jest bowiem – parafrazując definicję integracji europejskiej

autorstwa Tony’ego Judta¹ – nieoczekiwanym produktem dziesięcioleci negocjacji prowadzonych przez polityków po obu stronach Atlantyku, usiłujących utrzymać i realizować swoje narodowe i branżowe interesy. Sojusz transatlantycki jest więc nieustającym kompromisem zawierany przez rządy na skalę nieznaną w historii, by ochronić nie tylko wspólne wartości i bezpieczeństwo, ale i dominację polityczną i gospodarczą na świecie. Ma zatem swoje doraźne cele i ramy działania, ale nie ma swojej logiki, tak jak nie ma jej proces integracji europejskiej.

Okresy rozkwitu sojuszu europejsko-amerykańskiego przeplatają się zatem z okresami kryzysów. Zimna wojna nie była jedynie czasem współpracy w obliczu zagrożenia komunizmem i wojną nuklearną. Kryzys sueski w 1956 r., kryzys berliński w 1961 r. (budowa muru), wyjście Francji ze struktur wojskowych NATO, kryzys kubański, wojna w Wietnamie czy decyzje o rozmieszczeniu w Niemczech amerykańskich rakiet średniego zasięgu Pershing II – wszystkie te wydarzenia rodziły pytania o wiarygodność sojuszu Ameryki i Europy, wierność jego demokratycznym ideałom oraz polityczne koszty jego funkcjonowania dla rządów.

Nie inaczej było po upadku komunizmu i zjednoczeniu Niemiec. Kryzys i wojna na Bałkanach, wojna z terroryzmem po 11 września, spory wokół Iraku czy targi związane z budową systemu obrony przeciwrakietowej były świadectwami politycznej ciągłości w nowym kontekście historii, a nie dowodami na radykalną zmianę natury stosunków transatlantyckich. Nowe wspólne cele nie wykuwały się w zaciszu gabinetów, lecz były dziełem wydarzeń, które wymuszały polityczną odpowiedź.

Na wspólny, ponadczasowy fundament współpracy transatlantyckiej, odporny na uroki politycznej narracji i przetestowany w czasie kryzysów, składa się zatem kilka elementów. Po pierwsze, nie ma współpracy atlantyckiej bez Ameryki przekonanej o swej globalnej roli. Stany Zjednoczone są dla niej tym, czym Francja i Niemcy dla idei europejskiej: motorem, który wyznacza kierunki, ale zarazem ponosi najwięcej odpowiedzialności i wyciąga najwięcej korzyści. Koszty finansowe utrzymywania systemu są inwestycją zwracającą się pod postacią politycznych i gospodarczych korzyści.

Po drugie, nie ma współpracy bez wspólnych instytucji i wspólnego działania w nich. Tylko wtedy można kształtować globalne reguły gry, a zarazem

¹ T. Judt, *Zapomniany wiek XX. Retrospekcje*, Rebis, 2019, s. 505.

ochroniać interesy polityczne i gospodarcze. Tu także koszt finansowy wraca w postaci politycznych wpływów i gospodarczej dywidendy.

Po trzecie, współpraca atlantycka nie jest funkcją barw partyjnych, lecz kwestią odpowiedzi na konkretne wyzwania. Upadki i wzloty nie są domeną amerykańskich Republikanów lub Demokratów, europejskich chadeków czy socjalistów. Historia sprawiedliwie rozdzieliła je między wszystkie strony politycznych sporów. Jeśli szukać wewnętrznych źródeł polityki transatlantyckiej, są związane bardziej ze zmianami społecznymi i presją na rządy, aby nowe trendy znajdowały odbicie w polityce zagranicznej.

Dzisiejsze napięcia w stosunkach transatlantyckich nie są zatem niczym nowym. Skrajne cechy osobowości Donalda Trumpa – niezwykle wysoka ekstrawersja połączona z niezwykle niską skłonnością do kompromisu, brakiem lojalności, akcjonizmem i językiem obliczonym na budowę konfliktu – skutecznie przesłaniają to, co jest istotą problemu: obie strony nie wiedzą, czy i dlaczego są sobie nawzajem potrzebne.

Ten kryzys jest paradoksalnie efektem ogromnego historycznego sukcesu, który stał się udziałem Zachodu po II wojnie światowej. Chyba żaden znany z historii sojusz polityczny suwerennych państw nie odcisnął się tak głęboko na kształcie świata: od polityki, poprzez gospodarkę, na sferze idei i kultury kończąc. Zwycięstwo to ma jednak cenę w postaci kolejnego poczucia utraty celu. W retoryce agenta ubezpieczeniowego, którą posługuje się obecna administracja USA w kwestii NATO, pobrzmiewa nie tylko biznesowy *background* prezydenta, ale i przekonanie, że Sojusz jest instytucją, której sens istnienia nie jest oczywisty. To samo dotyczy zaangażowania w stworzone po wojnie organizacje globalne, które w coraz mniejszym stopniu są projekcją powojennego ładu liberalnego i zachodniej siły i wpływów, a w coraz większym – kanałami ekspansji protekcjonizmu i autorytaryzmu.

Innym aspektem kryzysu jest wyrównanie siły partnerów. Polityka amerykańska konsekwentnie budowała moc i wpływy Europy, w tym, może przede wszystkim, Niemiec. Wzrost wyzwań natury gospodarczej i technologicznej dla polityki transatlantyckiej powoduje, że Stany Zjednoczone nie mają już takiej przewagi, jaką zapewniał parasol nuklearny. Europa wciąż debatuje nad swą militarną słabością, ale w realnej polityce nie ma ona takiego znaczenia jak kwestie odporności na szantaż surowcowy czy kontrola nad przestrzenią cyfrową i suwerenność technologiczna. Spora część obecnej debaty jest w istocie świadectwem, że bóle fantomowe są równie silnym motorem polityki co presja wydarzeń.

POLSKIE NADZIEJE I ŻŁUDZENIA

Opowieść o historii i współczesności stosunków transatlantyckich jest w Polsce silniejszym fundamentem działania politycznego niż pogłębiona refleksja i analiza tego tematu. W efekcie wierność idei, a bardziej precyzyjnie – wyobrażeniu, czym były relacje Europy i Ameryki w okresie zimnej wojny i jaki w związku z tym jest ich optymalny kształt, biorą górę nad chłodnym rozpoznaniem kontekstu politycznego, w którym funkcjonujemy obecnie jako pełnoprawny członek NATO i UE. Dlatego dominujące w Polsce rozumienie współpracy transatlantyckiej sprowadza się do: strachu przed Rosją, braku wiary w Europę i przekonania o solidności amerykańskiego zaangażowania i gwarancji bezpieczeństwa. Wszystkie te elementy są ze sobą spójne i tworzą przekonującą polityczną narrację, idealnie pasującą do wspomnianej opowieści o współpracy transatlantyckiej. Ma ona jednak kilka słabych punktów.

Po pierwsze, choć kontekst strategiczny powstania Sojuszu jest związany z zagrożeniem komunizmem i ekspansją militarną ZSRR, od lat 70. XX w. tracił on na znaczeniu na rzecz współpracy i rywalizacji gospodarczej Stanów Zjednoczonych, Kanady i EWG, dyplomacji wielostronnej oraz zmian kulturowych i społecznych. Bez tej cichej integracji politycznej i społecznej Sojusz nie przetrwałby końca zimnej wojny.

Po drugie, integracja europejska była dla stosunków transatlantyckich równie ważna co Sojusz Północnoatlantycki. Bez EWG – a następnie Unii Europejskiej – państwa na kontynencie nie osiągnęłyby tego rodzaju politycznej spójności i gospodarczej konwergencji, która mogła być oparciem dla interesów Ameryki, dawać im niezbędną skalę i zasięg działania. Rozpad UE byłby zatem dla relacji atlantyckich tym samym, co rozpad NATO: ich definitywnym końcem jako wspólnoty politycznej.

I wreszcie, wiarygodność amerykańskiego zaangażowania w bezpieczeństwo Europy była przedmiotem nieustających obaw i kontrowersji od momentu negocjacji traktatu waszyngtońskiego. Nigdy dość przypominania, że brzmienie artykułu 5 – brak zobowiązania do bezwarunkowego udzielenia pomocy militarnej w wypadku agresji – jest wynikiem stanowiska amerykańskiego. Warto też pamiętać wspomniane wcześniej lekcje, które zostały udzielone Francuzom i Brytyjczykom w Suezie, a także mieszkańcom Berlina Zachodniego, nie wspominając o powstańcach węgierskich z 1956 r. Wszyscy oni w różnym stopniu i z różnymi konsekwencjami przekonali się, że „imperium dobra” nie tylko zwalcza „imperium zła”, ale potrafi także z nim współpracować, nawet kosztem swych sojuszników oraz tych, którzy widzą w nim

nadzieję na przyszłość. Każda zmiana reguł gry jest bowiem zagrożeniem dla komfortu głównych graczy.

Miejsce i rola Polski w stosunkach transatlantyckich zatem zawsze były i nadal są o wiele bardziej złożonym problemem, niż sugeruje to nasza polityczna opowieść. Polska była i wciąż jest beneficjentem „liberalnego ładu”, którego podwaliny stworzyło 14 punktów Woodrowa Wilsona, a następnie administracje George’a Busha i Billa Clintona. Ów ład nie był konstrukcją teoretyczną, lecz metodą zarządzania instytucjonalnym chaosem i społecznymi emocjami po końcu zimnej wojny. Jego istotą była inkluzyjność – oferowanie udziału w polityce zachodniej – oraz miękki imperializm – nacisk na reformy w skrajnie wolnorynkowym wariacie. W Rosji Borysa Jelcyna i w wielu innych byłych republikach ZSRR eksperyment liberalny nie powiódł się ani w polityce wewnętrznej, ani zagranicznej.

W Polsce i regionie nazywanym Europą Środkową przyniósł on jednak nie tylko ogromne koszty związane z transformacją gospodarczą, ale i realne sukcesy mierzone poprawą warunków życia. To nie zagrożenie rosyjskie i geopolityczna kalkulacja, lecz sumienne, często wręcz przesadne podążanie za zachodnim wzorcem zaprowadziło cały region do NATO i Unii Europejskiej. To zwrot polityczny i reformy gospodarcze – a nie potencjał i zdolności wojskowe – były przepustką do świata transatlantyckiego. Bez członkostwa w Unii polska gospodarka nie tylko nie stworzyłaby budżetu obronnego, który może być elementem naszego lobbingu politycznego w Waszyngtonie, ale i nie przyciągnęłaby amerykańskich inwestycji. Definiowanie transatlantyckości przez pryzmat obecności wojskowej Stanów Zjednoczonych lub jako narzędzia osłabiania integracji europejskiej jest zatem nie tylko krótkowzroczne, ale przede wszystkim fałszuje historię i zawęża horyzont współczesnej polityki.

CHINY I CYFROWY KONSENSUS

Kluczowym wyzwaniem dla polskiej polityki nie jest nazwisko obecnego czy przyszłego lokatora Białego Domu ani nowe linie podziałów między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi. Tym wyzwaniem jest transformacja polityki transatlantyckiej pod kątem wyzwania chińskiego z jednej strony, a rewolucji technologicznej – z drugiej.

Wyzwanie chińskie jest nieporównywalne z tym, które tworzył komunizm i Armia Czerwona. Jego istotą nie jest ideologia, która pociągałaby miliony Europejczyków czy Amerykanów i Kanadyjczyków, ani groźba

interwencji wojskowych na półkuli północnej. Wzrost potęgi chińskiej i wynikające stąd konsekwencje przywodzą na myśl raczej Niemcy wilhelmińskie lub Japonię okresu Meiji. W obu wypadkach z przełomu XIX i XX w. śmiała polityka konsolidacji społecznej pod hasłami głębokich reform i narodowej dumy – a w Niemczech dodatkowo zjednoczenie państwa – spowodowała szybki wzrost i ekspansję gospodarczą, postęp technologiczny, modernizację armii i rosnącą asertywność w polityce zagranicznej. Finał tego procesu znamy aż za dobrze. Lekcje historii powinny kierować nas ku poszukiwaniu dróg rozładowywania rosnących emocji i adaptacji ram instytucjonalnych globalnej polityki, a nie w kierunku kibicowania „naszym”. Konflikt w polityce międzynarodowej jest rzeczą normalną, dopóki jego areną są organizacje międzynarodowe, regulacje rynkowe czy zwyczajne ludzkie animozje. Jeśli wychodzi poza te ramy, staje się zagrożeniem dla ładu i życia.

Polska nie jest państwem rozgrywającym politykę na poziomie globalnym, ale nie może być też państwem rozgrywanym. Jeśli Chiny są w stanie zaakceptować suwerenność regulacyjną i technologiczną Europy i Ameryki i grać zgodnie z lokalnymi regułami, a także otworzyć się na świat, nie ma powodu, aby nie stały się partnerem w wybranych obszarach. Jeśli oczekiwanie to jest na wyrost i Chiny okażą się niezdolne do takiej zmiany, współpracy tej nie będzie, lub jej zakres będzie ograniczony. Popularny argument geopolityczny zmusza nas tymczasem do przyjęcia strategii, która programuje konflikt, nie wspominając przy tym o geopolitycznej rekompensacie za utracone korzyści. Potrzeby inwestycyjne dotyczące twardej infrastruktury w państwach zaangażowanych w projekt Trójmorza wynoszą ok. 600 mld euro. Fundusz inwestycyjny Trójmorza dysponuje w praktyce środkami unijnymi i krajowymi, a Stany Zjednoczone zadeklarowały jego wsparcie do wysokości 1 mld dol. Jest to kwota, która nie może konkurować ani z budżetem Unii, ani z ofertą chińską, bardzo atrakcyjną dla niektórych państw regionu.

Wbrew czarnym scenariuszom, dla których punktem wyjścia jest modna koncepcja „pułapki Tukidydesa”, konflikt wojskowy Stanów Zjednoczonych i Chin nie jest zaprogramowany i nieuchronny. Oba państwa osiągnęły pozycję mocarstw handlowych i to handel międzynarodowy – wymysł na wskroś liberalny – jest tym, co przybliży Amerykanów do Chińczyków bardziej niż do Rosjan, którzy swą pozycję osiągnęli dzięki bogactwom naturalnym. Z tego samego powodu układ chińsko-amerykański tworzy przestrzeń dla Unii Europejskiej, w której nasz głos może mieć istotne znaczenie.

Rewolucja technologiczna ma także zewnętrzny, chiński wymiar, jednak z politycznego i społecznego punktu widzenia ważniejszy jest jej kontekst wewnątrzatlantycki. Pozbawiony regulacji rozwój technologii informacyjnych opartych na algorytmach, prace nad stosowaniem w codziennym życiu rozwiązań z obszaru sztucznej inteligencji, nadchodząca era komputerów kwantowych, a także zmiany klimatyczne i poszukiwanie nowych źródeł energii, są nie tylko szansą na kolejny skok cywilizacyjny, ale i poważnym wyzwaniem społecznym i politycznym. Rewolucja technologiczna dotyka takich kwestii jak rozumienie demokracji, relacje między państwem, rynkiem a społeczeństwem, prawa człowieka oraz szereg zagadnień etycznych.

Mimo naturalnej konkurencji i sporów regulacyjnych sojusz transatlantycki jest jedynym miejscem na świecie, gdzie mogą powstać rozwiązania i reguły gry, które zapewnią bezpieczeństwo, ochronią wolność jednostki i zadaptują demokrację do nowej ery przed tym, gdy fragmentacja społeczna przyniesie polityczny chaos. Bez względu na to, jak ocenimy szanse na nowy cyfrowy konsensus, wydarzenia będą napędzać wokół Atlantyku zwrot od tradycyjnej agendy, której wyrazicielem jest NATO, w stronę wspomnianych zagadnień, dla których ramami jest współpraca Stanów Zjednoczonych, Kanady i Unii Europejskiej, z udziałem Wielkiej Brytanii i Australii.

Polska nie ma interesu, aby brać udział w konflikcie z Chinami. Dlatego retoryka sojuszu wojskowego Polski i USA, choć nie ma on wymiaru formalnego, powinna ustąpić miejsca retoryce dialogu strategicznego, w którym kwestie militarne są jednym z wielu aspektów. Polska ma bowiem nie tylko interes polityczny i gospodarczy, ale i tytuł do refleksji na temat współpracy Unii Europejskiej ze Stanami Zjednoczonymi w obszarze suwerenności technologicznej i surowcowej. Utrzymywanie założenia, że bezpieczeństwo państwa sprowadza się do obecności kilku tysięcy żołnierzy armii amerykańskiej, jest działaniem sprzecznym z polską racją stanu.

Nadchodzące wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych tworzą kolejną odsłonę debaty o znaczeniu i przyszłości idei atlantyckiej. Zwycięstwo Donalda Trumpa wzmocni przekonanie o kolejnym końcu współpracy Ameryki z Europą. Sukces Joe Bidena zrodzi z kolei nadzieje na nowy początek, powrót liberalnej Ameryki i renesans Zachodu.

Takie podejście bardzo upraszcza zrozumienie problemów, które zawsze towarzyszyły współpracy transatlantyckiej. Jest też przejawem wiary w determinizm napędzany siłą idei politycznych i cechami charakteru przywódców. Choć znaczenia idei i osób nie można bagatelizować, starałem się pokazać, że o przyszłości decydują wola i zdolność do reagowania na wydarzenia i zajmowanie wobec nich stanowiska. Nie ma zatem żadnej logiki, która przesądzałaby o końcu lub trwaniu współpracy.

Bez względu na wynik listopadowego starcia obie strony potrzebują resetu, który skieruje ich uwagę na poszukiwanie rozwiązań w miejsce wzajemnego recenzowania się i straszenia. Taki reset jest także niezbędny w polskiej polityce, która tkwi w transatlantyckim micie zimnej wojny – *to keep Americans in, Russians out and Germans down* – ze szkodą dla siebie i całego sojuszu.